

Dokładnie 6 lat musiało minąć, abym ponownie zmierzył się z Rudawską Wyrypą. Pierwsza edycja tej imprezy w sobotę 5 maja 2012 roku trochę mnie sponiewierała. Niesamowity gorąc, braki wody łączywie uzupełniane w górskich strumieniach, pod wieczór tak potężna burza, że nawet płaszcz przeciwdeszczowy przemókł. A to nie był byle jaki płaszcz ;) I mimo, że na pierwszą Rudawską jechałem od samego początku turystycznie, podziwiać i fotografować piękno Rudaw Janowickich i widzianych z nich Karkonoszy, to jednak jakies tam ciśnienie było. Ot choćby aby zmieścić się w limicie czasu. Koniec końców bez kompletu punktów (zaliczone 18 na 20) i totalnie przemoczony wróciłem do bazy z jednym postanowieniem - żadnych więcej górskich 50-tek na orientację. W góry te miałem wrócić obowiązkowo, ale całkowicie turystycznie. Wróciłem, całkowicie nieturystycznie ;)

Sobota 5 maja 2018 roku, idealnie 6 lat po pierwszym starcie. Nawet pogoda była taka sama. Już to musiało coś znaczyć. Do tego start z Adamem Bartosiewiczem, z którym myślę tworzymy fajny team, bo i dobrze się biega, dobrze nawiguje, w tym roku stanęliśmy nawet na podium w nocnym, zimowym Włóczykij Trip Extreme. To wszystko ewidentnie musiało coś znaczyć. I oczywiście znaczyło, ale nie to co sobie wyobrażałem.

"Start o 10:00, słońce do 21:00. Po co mi czołówka?" - pomyślałem ok. 26 godzin przed startem pakując plecak i sprawdzając jego wagę. Ze względu jednak na apteczkę i dodatkowe pół litra napoju w butelce, które nie zmieściłyby mi się w moim drugim, mniejszym, wygodniejszym plecaku na zawody, postanowiłem ją jednak zapakować. "Jak wspaniale że ją mam" - pomyślałem ok. 35 godzin od pierwszej myśli. Ale po kolei.

Do bazy w Janowicach Wielkich, wraz z Andrzejem Urbańskim, który startował na dystansie 25 km, przybyliśmy o godzinie 8:50. Adam już czekał, bo nocował na sali w szkole. U mnie w tym temacie zawsze to wygląda słabo, więc jak mam możliwość to nocuję w prywatnych kwaterach. I tak też było tym razem. Jeszcze toaleta, jeszcze krótka rozmowa z Borysem Bińkowskim, której początek wyglądał mniej więcej tak:

- Cześć, twarz znajoma - słyszę.
- No hej. Znamy się z Sudeckiej Wyrypy z tamtego roku - odpowiadam (zajęliśmy tam wspólnie 4 miejsce - przyp. autora).
- Tak? Startowałem tam? Nie kojarzę - pada odpowiedź :)))

Dobra, do sedna. O 9:15 rozpoczęła się odprawa. Najpierw dostaliśmy wytyczne potrzebne do zbudowania trasy, potem opisy punktów w postaci piktogramów, następnie kilka zbliżeń w skali 1:10 tys co teoretycznie trudniejszych punktów, potem mapę BnO odcinka specjalnego także w skali 1:10 tys i w końcu mapę główną w skali 1:33 tys. Godzina 9:30 rozpoczynamy budowę trasy, na którą mamy 30 minut. Punkty kontrolne podzielone zostały na siedem kategorii (A, B, C, D, K, L, S). Oprócz S (odcinek specjalny, do zaliczenia wszystkie 10 punktów) z każdej z nich możemy nie zaliczyć jednego, dwóch i sześciu punktów. Skomplikowane? Gdy się czyta to pewnie tak, ale jak się ma mapę przed oczami to całość opanowuje się bardzo szybko. 10 minut przeznaczamy na wybór punktów do usunięcia, kolejne 5 minut na przerysowanie punktów z mapy BnO na mapę główną i 15 minut na zbudowanie trasy. Nasz wariant był następujący: S3, S1, S2, S5, S4, S6, K6, A3, S8, S10, A5, A4, B1, B5, L4, B4, L2, L1, B2, C2, C4, C1, C5, K7, D3, S9, S7, D5, K4, D2, D1, A2. Połączyliśmy punkty zakreślaczem i za parę chwil padła komenda start. Lecimy.

Rozpoczęliśmy od odcinka specjalnego, gdzie mimo sporych podejść w miarę szybko i bezproblemowo łapiemy pierwszych sześć punktów. 6 kilometrów w trochę ponad 1h. Niezłe tempo jak na to, że mamy na razie znacznie więcej pod górę. Kolejnym celem jest Bolczów

(K6). Dobieg bez najmniejszych problemów, ale zaczęły się schody ze znalezieniem punktu. Obszukaliśmy zamek wzdłuż i wszerz. Co prawda z mapy wynikało w miarę sensownie gdzie ten punkt jest, ale do samego końca wierzyłem, że orgowie nie ukryli go w tak trudnym technicznie miejscu, na które było trzeba się wspinać niemal po pionowej skarpie (od północy) lub uprawiać swoistą wspinaczkę skałkową (od zachodu). No cóż, właśnie tam go ukryli ;) W każdym razie 20 minut w plecy, ale kolejne pięć punktów (w tym dwa z OS-u) wchodzą gładko.

Z A4 do B1 pierwszy dłuższy przebieg, oczywiście pod górę. Odbijamy jeszcze lekko na północ, aby obejść górę i przejść łagodnym korytarzem pomiędzy nią a mniejszą będącą obok. Z B1 mamy w dół. Co z tego jednak, gdy jest tak stromo, że tempo prawie takie same jak na podejściach. Ale w końcu jesteśmy na asfalcie. Dochodzimy do domostw widocznych na mapie, natrafiamy na drogi ogrodzone płotami i tereny prywatne. W dodatku wyskakuje z domu jakiś gość i zaczyna drzeć się na nas (od razu dodam żeby nie było, NIE weszliśmy na te ich tereny prywatne). Ostra wymiana zdań między nami a nim, ale szkoda nam czasu, szybko kończymy tę jałową dyskusję i oblatujemy płoty dookoła.

Z B5 do miejsca gdzie powinien być L4 dochodzimy bez problemów. Co z tego jak tutaj zaczął się nasz największy dramat tych zawodów... Dojście do tego punktu było na zbliżeniu. Wyliczyliśmy więc ile mamy metrów do przejścia, a jako że była tylko jedna droga, to kompas poszedł do kieszeni. Okazało się jednak, że drogi przy punkcie były w rzeczywistości poprzesuswane, co potem w rozmowie telefonicznej przyznał sam organizator, i mimo przejścia tych 200 iluś metrów, które zostały wyliczone, L4 nie możemy znaleźć. Czas ucieka, zaczynają się nerwy. Dobra, wdech wydech, przecież mam kompas. Patrę na kierunki i ewidentnie ta droga leci inaczej niż na mapie. "Na chu...steczkę mi takie zbliżenie" - myślę sobie. To już główna mapa była bardziej jasna. Z dołu dochodzą trzy osoby i w końcu po prawie 40 minutach znajdujemy ten punkt. L4 - nawet nazwa tego punktu znacząca ;)

Morale trochę siadło, w związku z czym kolejny punkt na naszej drodze, banalny B4 przestrzelamy. Kolejne 10 minut straty... Ale jest ładnie, okwiecona mniszkiem łąka z widokiem na Wielką Kopę, w dole sympatycznie położona wioseczka Rędziny. Rzucić się w tą soczystą, młodą trawę, otworzyć piwo i odpoczywać... Jednak nie czas na to, a czas wziąć się w garść. I tak też zrobiliśmy. Do C2 wszystko ładnie zaliczamy. Można nawet dłużej pobiegać, bo w końcu zaczynamy mieć sporo w dół. W międzyczasie modyfikujemy trasę i z bólem serca wywalamy cztery punkty, których nie będziemy zaliczać. Głównie przez to, że nie mamy nic ciepłego do założenia, a Adamowi wysiadła czołówka. No i jednak ten limit czasu trochę siedzi w głowie (przekroczenie limitu = nieklasyfikowany). Więc z C2 prosto na bufet.

Ten C4 to w zasadzie można było jednak zaliczyć, ale w tamtym czasie, gdy w bukłakach i brzuchach już pustki, chcieliśmy jak najszybciej napić się i zjeść. A bufet był świetnie zaopatrzony. Wody pod dostatkiem, banany, pomarańcze, ciastka. Dolewam więc wody do pustego bukłaka, pakuję do plecaka 2 banany i w drogę do C1. Z tego punktu mieliśmy w planie C5 i K7, ale odpuściliśmy je. Zresztą patrząc na spokojnie, pierwszy z tej dwójki nie był za dobrym wyborem. Już lepiej było zaliczać C3 i L5 niż C5 i L4. Ale z domu, z pozycji krzesła przy biurku, wszystko jest łatwiejsze ;)

Podejście na D3 to była katorga. Wokół tego wzniesienia zrąb, totalny sajgon powycinkowy. Przynajmniej widok na Karpniki w zachodzącym już powoli słońcu i górujące nad nimi Sokolik i Krzyżna Góra wart był tego wysiłku. Spotkaliśmy tutaj Michała Jędroškowiaka z

TP100. Szybka rozmowa i równie szybko rozstajemy się, gdyż on napiera w innym kierunku niż my. W drodze na ostatnie punkty z OS-u (S09 i S07) maszerujemy przez łąkę z kolejnym pięknym widokiem, tym razem na Karkonosze w zachodzącym słońcu. Z pierwszych domów zaczyna unosić się już dym z kominów. Sielsko anielsko... Ale trzeba napierać i urwać jak najwięcej dystansu jeszcze za dnia. Odcinek specjalny kończymy sprawnie, tak samo szybko zaliczamy D5. Jeszcze do K4 przy schronisku Szwajcarka udaje się bez włączenia czołówki (tutaj też rezygnujemy z czwartego wybranego wcześniej punktu - D2). Tylko że robi się zimno. Mam co prawda długie spodnie, ale góra na krótko i zaczynam odczuwać spadającą temperaturę. Do D1 minimalnie za daleko poleciliśmy drogą, ale musimy też trochę zwolnić, bo Adam bez swojego światła jednak musi bardziej uważać. Przy tym punkcie spotykamy dwóch zawodników, z którymi już robimy trasę do mety. W drodze do A2 zbiegamy do rzeki Bóbr i zaczynam już mocno marznąć, palce delikatnie grabieją. A2 wchodzi sprawnie i do mety już nic ciekawego się nie dzieje. Coś tam rozmawiamy, ale generalnie (przynajmniej ja) jestem myślami już przy gorącym prysznicu i ciepłej stawie.

Ostatecznie po 12h i 9 minutach napierania i 52 km w nogach docieramy do mety z 28 punktami kontrolnymi (na 32) i zajmujemy 20 miejsce na 81 zawodników. Nawiązując do słów z początku tej relacji, nie tak sobie wyobrażałem powrót na tę imprezę. Przede wszystkim miał być zaliczony komplet punktów kontrolnych i czas trasy do 10 godzin. Z drugiej strony na naszym dystansie 50 km tylko 13 osób zaliczyło komplet (zwycięzca z czasem 8h 49 min). Jeszcze gorzej wyglądało to na trasie 100 kilometrowej - 3 osoby na 23 z kompletem punktów (zwycięzca miał czas 21h 25 min), i na trasie 25 kilometrowej - 10 osób na 87 z kompletem (zwycięzca z czasem 6h 32 min). Jednym słowem rzeźnia przez duże R, wyrupa w każdym tego słowa znaczeniu. Ale warto było wystartować, mimo że na mecie powiedziałem sobie, że nigdy więcej. Trudne zawody w pięknej scenerii, dużo nauki, kolejny trening nie tyle fizyczny co i mentalny. Poza tym w górach zawsze warto być, czy to turystycznie czy na sportowo :)

Sobota, 5 maja 2029 roku, idealnie po 11 latach wracam na Rudawską Wyrpę. To na pewno będzie coś znaczyć ;) Niiieee, chyba jednak tyle czasu nie będę czekał. Do zobaczenia za 2 lata, mam z tymi górami rachunki do wyrównania!